

Prymas Hlond, interrex. Rozmowa z Markiem Jurkiem

Wyjazd z kraju wraz z władzami Rzeczypospolitej był aktem państwowym. Prymas w tradycji polskiej był interrexem, „wicekrólem”, poręczał legalność władz Rzeczypospolitej. Wyjechał jako świadek suwerennych praw Polski – mówi Marek Jurek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „August Hlond. Kościół pomiędzy epokami”.

Aleksandra Bogucka: Kardynał August Hlond to postać dziś nieco zapomniana, choć stał na czele polskiego Kościoła w czasach niezwykłych – odrodzonej Polski oraz w czasie zmagania z dwoma totalitaryzmami. Skąd się wzięła ta amnezja w polskim społeczeństwie wobec poprzednika prymasa Wyszyńskiego? Czy przyczyną jest tylko przyćmienie wielkością osoby następcy na stolicy prymasowskiej?

Marek Jurek („Christianitas”): Historia Kościoła w ogóle zajmuje za małe miejsce w naszej świadomości narodowej. Gdyby nie obecna beatyfikacja kardynała Wyszyńskiego, to pewnie i o nim mówilibyśmy znacznie mniej – przecież nawet jego trzeba przypominać. Prymas Wyszyński zresztą dzisiaj kojarzy się przede wszystkim z uwięzieniem w latach 1953-56, co oczywiście było szczególnie heroicznym aktem jego działalności. Ale jestem przekonany, że nie doceniamy znaczenia Wielkiej Nowenny Tysiąclecia, wszystkich działań podejmowanych

przez Prymasa w latach 1956-66, dla wyzwolenia Polski z systemu komunistycznego. Tym bardziej należy przypominać historię wcześniejszą.

Prymas Hlond był wielką postacią trzech epok – Drugiej Rzeczypospolitej, czasów wojny i okresu powojennego, czyli początków władzy komunistycznej w Polsce. W każdej z nich odegrał istotną rolę.

Wydaje się, że oskarżenia kierowane po wojnie pod adresem kardynała Hlonda przez rządzących komunistów mogły padać na podatny grunt. Wyjazd kardynała z Polski, gdy jeszcze trwała obrona Warszawy nie zyskał mu sympatii. Kardynał Sapieha, który pozostał w kraju w czasie okupacji, nazwał to wręcz „błędem”...

Wyjazd z kraju wraz z władzami Rzeczypospolitej był aktem państwowym. Prymas w tradycji polskiej był interrexem, „wicekrólem”, poręczał legalność władz Rzeczypospolitej. Wyjechał jako świadek suwerennych praw Polski. Dziś uważamy za rzecz oczywistą, że Polska zachowała w czasie wojny suwerenną władzę państwową na emigracji, ale to nie było tak oczywiste w momencie wyjazdu Prymasa.

Konstytucja, na podstawie której uformowały się władze Rzeczypospolitej na wygnaniu, była przecież kontestowana przez opozycję, a pierwszy prezydent wyznaczony legalnie na podstawie konstytucji kwietniowej – gen. Wieniawa-Długoszowski – został zmuszony do rezygnacji z objęcia z urzędu przez Francję. Francuzi zadeklarowali, że nie zaakceptują żadnego rządu powołanego przez prezydenta Długoszowskiego i to zmusiło prezydenta Mościckiego do zmiany aktu następstwa i powołania prezydenta Raczkiewicza.

Jaka była motywacja kardynała Hlonda do wyjazdu?

Kardynał był przekonany, że miejsce prymasa Polski, zgodnie z całą wielką polską tradycją państwową, jest u boku suwerennej władzy Rzeczypospolitej i że również w Rzymie będzie poręczał prawa Polski jako państwa będącego ofiarą niemiecko-sowieckiej agresji. Oczywiście można zakładać, że Prymas mógł wypełniać tę rolę, którą zrealizował w kraju książę-arcybiskup Sapieha, poświęcić się obronie ludności cywilnej w czasie okupacji – co by jednak kosztowało Prymasa wiele kompromisów, milczenia, znoszenia presji, szantaży dotyczących bezpieczeństwa duchowieństwa – pamiętajmy, że duchowieństwo katolickie w czasie II wojny światowej padło ofiarą ludobójstwa, na samym Pomorzu Gdańskim zginęła 1/3 księży. Zresztą myślę, że i na stanowisko księcia-kardynała Sapiehy miały wpływ różnice opinii z Prymasem, które dzieliły ich w okresie Dwudziestolecia, w których zresztą ówczesny abp Sapieha miewał rację. Co nie znaczy, że miał rację w ocenie decyzji Prymasa Hlonda o wyjeździe z kraju wraz z władzami państwowymi.

Tak jak wyjazd z Polski do Rzymu na początku wojny uznawano za kontrowersyjny, podobnie było z powrotem kardynała zaraz po zakończeniu wojny. Obawiano się w środowiskach patriotycznych, że będzie sankcjonował swoją obecnością władzę komunistów w Polsce. Okazało się jednak, że jego decyzje administracyjne podjęte zaraz po powrocie miały ogromny wpływ na reorganizację Kościoła na powojennych ziemiach polskich. Uznawane jest to obecnie na jedno z najważniejszych osiągnięć Hlonda.

Właśnie za to Prymas Hlond jest tak atakowany w dzisiejszych Niemczech. Był przecież wielkim rzecznikiem prawa Polski do Ziemi Zachodnich i świadkiem odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie drugiej wojny światowej. Niewątpliwie powrót był rzeczą trudną, bo władze, którym Prymas chciał towarzyszyć w czasie wojny, nadal działały, choć w innym kontekście. Po układach jałtańskich o wyjeździe niedawnego premiera Mikołajczyka do kraju rząd Rzeczypospolitej zachował uznanie tylko małej grupy państw nie biorących udziału w wojnie, w tym Stolicy Apostolskiej, Hiszpanii, Republiki Irlandii. Zachodnie mocarstwa, które Polskę zdradziły, autoryzowały rząd kontrolowany przez komunistów i „wybory” jałtańskie. Wojna była skończona, premier Mikołajczyk (po wcześniejszej dymisji oczywiście) zaakceptował decyzje Jałty, a to tworzyło zupełnie nowe okoliczności. Prymas wracał do kraju jako świadek praw narodu wobec kolaboracyjnej władzy i – szczególnie w kwestii nowych Ziemi Zachodnich – wobec opinii zagranicznej. Rola, którą podjął, torowała drogę misji jego następcy, Prymasowi Wyszyńskiemu.

Po 1989 roku, na początku lat 90. Polski Kościół próbował nawiązywać do dziedzictwa kardynała Hlonda, reaktywując Akcję Katolicką – organizację, która powstała z inicjatywy prymasa w przedwojennej Polsce. I choć udało się przeprowadzić tę operację, wydaje się jednak, że w Episkopacie spodziewano się większego odzewu wśród polskich katolików niż ten, z którym spotkał się ten pomysł u progu III RP. Czy to wzorce Hlonda okazały się archaiczne, czy wpłynęły na to inne czynniki?

Wyjdę od innego aspektu, w którym brałem udział. Chyba pierwszym bezpośrednim, wyraźnym nawiązaniem do dziedzictwa prymasa Hlonda w wolnej Polsce był program Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, przyjęty u samego progu niepodległości, w 1990 roku. Na pierwszym zjeździe ZChN włączyliśmy do programu katolickie postulaty konstytucyjne sformułowane przez prymasa Hlonda w 1947 roku. Te szczególnie, które mówiły o tym, że Rzeczypospolita jako polityczna forma chrześcijańskiego narodu powinna mieć charakter chrześcijański. Polityka ZChN-u w różnych wymiarach – ochrony życia, edukacji, kultury – wynikała z tej właśnie zasady.

A jak wyglądała działalność Akcji Katolickiej?

Prymas po 1926 roku, w Polsce pomajowej, uważał, że to powinna być podstawowa struktura opinii katolickiej. Po pierwsze dlatego, że partie polityczne w różnym zakresie reprezentują stanowisko katolickie, a powinien być podmiot wyrażający je jednoznacznie. Był także drugi motyw, wiążący się właśnie ze wspomnianymi przedwojennymi kontrowersjami z księciem-arcybiskupem Sapiehą, późniejszym kardynałem. Prymas Hlond, traktując priorytetowo działalność Akcji Katolickiej, uważał, że katolicy powinni tworzyć przede wszystkim opinię społeczną. Akcja nie była opozycją polityczną i miała życliwie neutralny stosunek do rządów majowych. Prymas Hlond reprezentował więc dokładnie to samo nastawienie co papież Pius XI, żywiący wielkie uznanie dla marszałka Piłsudskiego. Jednak wybitni biskupi, związani z prawicą, tacy jak właśnie książę-arcybiskup Sapieha czy arcybiskup Teodorowicz reprezentowali inne nastawienie, uważali system pomajowy za rządy bezprawia, zaś ta różnica zdań skumulowała się przede wszystkim w okresie procesów brzeskich. Paradoks polegał na

tym, że najbardziej konserwatywni i bliscy prawicy biskupi, najbardziej energicznie domagali się mocnego stanowiska Episkopatu w obronie prześladowanych polityków Centrolewu.

Dlaczego?

Uważali Brześć za moralną zapaść państwa, wobec której Episkopat nie powinien być neutralny. Prymas Hlond reprezentował inne stanowisko. Uważał, że dezaprobata dla Brześcia nie powinna zamieniać się w polityczną opozycję Kościoła wobec rządów pomajowych. Pamiętajmy, że duża część społeczeństwa popierała rządy marszałka Piłsudskiego. Nawet jeśli globalnie mogło być to poparcie tylko względnej większości – to jednak większości i w relacji do opozycyjnej prawicy, i do lewicy.

Kardynał Hlond znany był z tego, że nie bał się zabierać publicznie głosu w sprawach dotyczących relacji państwo-Kościół, moralności, czy życia społecznego. Tę linię kontynuował potem kardynał Wyszyński. Obecnie ten model wydaje się odchodzić do lamusa. Jak Pan ocenia tę zmianę?

Działalność obu Prymasów bardzo ciekawie konkretyzowała stanowisko ówczesnych papieży. Całe orędzie społeczne prymasa Hlonda wyrażało naukę Piusa XI o Chrystusie Królu, sformułowaną w encyklice *Quas Primas*. I tak jak Pius XII rozwinął tę naukę w odniesieniu do wszystkich dziedzin życia społecznego i kultury, tak samo dziedzictwo prymasa Hlonda rozwinął prymas Wyszyński. Geniusz prymasa Wyszyńskiego polegał na tym, że jeszcze przed wojną, jako socjolog, nabrał przekonania, że o wyniku starcia chrześcijaństwa z

komunizmem zdecyduje to, kto zdobędzie rząd dusz wśród rosnących środowisk robotniczych. Rosnących, bo uprzemysłowienie trwało przez cały wiek XX, gwałtownie przyspieszając w okresie rządów komunistów. Prymas uważał, że jeśli ludzie przyjeżdżający w poszukiwaniu pracy ze wsi do miast zostaną pozostawieni sami sobie – padną ofiarą nieuchronnej dechrystianizacji i propagandy antykatolickiej (skrajnej lewicy przed wojną, a reżimu komunistycznego po wojnie). A jednocześnie, jeżeli się rozpocznie ich ewangelizację, staną się wielkim oparciem dla Kościoła. I w tym sensie Solidarność jest zwieńczeniem, ukoronowaniem życia kardynała Wyszyńskiego. Ale między działalnością prymasa Hlonda i prymasa Wyszyńskiego, i potem już wielkim powszechnym orędziem Jana Pawła II jest bardzo wyraźna ciągłość.

Czy Pana zdaniem, dziedzictwo kardynała Hlonda może mieć jeszcze jakieś znaczenie dla współczesnego zarówno Kościoła, jak i Polski?

Oczywiście. Mieliśmy przecież to szczęście, że wielcy ludzie polskiego Kościoła potrafili nadawać wymiar narodowy orędziu Kościoła Powszechnego swoich czasów. Tak było już ze św. abp. Felińskim i bł. Piusem IX, i potem, w wypadku Prymasów Hlonda i Wyszyńskiego. A ratunkiem dla Kościoła w czasie dzisiejszego kryzysu jest po prostu powrót do Tradycji. Nie do przeszłości, ale do Magisterium i stałych zasad życia katolickiego, przekazywanych mimo zmieniających się okoliczności, czyli po prostu – do paradygmatu katolickiego.

Prymas Hlond był wielkim orędownikiem cywilizacji chrześcijańskiej. O tym, jak wyglądała adaptacja jego dziedzictwa, mówiłem już w odniesieniu do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Z ogólnych zasad cywilizacji chrześcijańskiej powinien wynikać stosowny dla swoich czasów chrześcijański charakter państwa. Nie chodzi więc o jakiś „projekt ustrojowy”, ale o niezmiennie zasady realizowane w zmieniających się warunkach. Największego dramatyizmu nabrało to, gdy Polska znalazła się pod dominacją sowiecką, kiedy straciliśmy niepodległość i kiedy prawa narodu mogły być reprezentowane przede wszystkim przez kształtowanie jego postaw moralnych i opinii społecznych. I wtedy zasady tradycji katolickiej stały się podstawą i natchnieniem dla Ślubów Jasnogórskich Narodu w 1956 roku i dla programu Wielkiej Nowenny Tysiąclecia. Przecież wtedy, w warunkach politycznego zniewolenia, przyjęliśmy zobowiązanie do odbudowy Polski katolickiej. Bez tego nie byłoby możliwe wszystko, czego doświadczyliśmy za czasów Jana Pawła II. Począwszy od apelu papieża w kazaniu na Mszy inauguracyjnej pontyfikatu, o otwarciu drzwi dla zbawczej władzy Chrystusa, która nie alienuje, ale wyzwala i chroni. I potem przez orędzie, które usłyszeliśmy w 1991 roku w czasie pierwszej pielgrzymki papieża do niepodległej już Polski, o Dekalogu, jako prawie podstawowym Rzeczypospolitej. Zachowanie i ożywienie dziedzictwa Jana Pawła II jest ściśle związane z wiernością dorobkowi wielkich Prymasów XX wieku – kardynałów Hlonda i Wyszyńskiego.

Z Markiem Jurkiem rozmawiała Aleksandra Bogucka



Dofinansowano ze środków
Funduszu Patriotycznego



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.